

Jelenia Góra w Himalajach

Czy stwierdzenie zawarte w tytule jest zasadne? Czy to możliwe? Otóż jak najbardziej, bo skoro mówi się Jelenia Góra w Karkonoszach to dlaczego nie Jelenia Góra w Himalajach.

W lipcu 2017 roku dwoje mieszkańców Jeleniej Góry, Elżbieta Sznajder i Krzysztof Tęcza, podczas całomiesięcznego pobytu w Indiach dotarli w swojej podróży przez nizinny Pendżab do Małego Tybetu. Po zwiedzeniu stolicy Indii gdzie obejrzeli m. in. dom Indiry Gandhi, Bramę Indii, miejsce gdzie zastrzelono Mahatmę Gandhiego, meczet Piątkowy, dotarli do Amritsaru, miasta gdzie znajduje się Złota Świątynia uważana za najświętsze miejsce Sikchów. Jest to miejscowość, w której oprócz wizyty we wspomnianej świątyni koniecznie trzeba odwiedzić Ogród Dżalianwali, miejsce martyrologii Hindusów z czasów walk o niepodległość z Brytyjczykami. Podczas sprzeciwu wobec brytyjskiego panowania zginęło tam około półtora tysiąca ludzi.



Foto: Krzysztof Tęcza

Ponieważ teren Kaszmiru został sztucznie podzielony pomiędzy Indie a Pakistan o Kaszmir wciąż toczy się wojna. Nie ma tutaj właściwej granicy między tymi państwami. Jest tylko linia demarkacyjna. Co prawda uczestniczyliśmy w organizowanej codziennie w Attari uroczystości zamknięcia przejścia na granicy pakistansko-indyjskiej, co było dla nas niezwykłym wydarzeniem, jednak poza zwiedzeniem Złotej Świątyni nie udało nam się wiele zobaczyć. W nocy bowiem kiedy tam przybyliśmy miała miejsce potyczka pomiędzy partyzantami a armią rządową, w wyniku której zginęło 6 partyzantów i rano musieliśmy zrezygnować ze zwiedzania starego miasta by natychmiast wylecieć samolotem do Śrinagaru – stolicy Kaszmiru położonej w himalajskiej kotlinie nad jeziorem Dal.

Tam zamieszkaliśmy w miasteczku na łodziach zakotwiczonych na jeziorze. Na łodziach mieszka 10% mieszkańców Śrinagaru czyli około 100 tysięcy ludzi. Kilkudniowy pobyt w tej miejscowości pozwolił nam na nabranie sił przed właściwą wspinaczką w Himalajach. Nie obyło się tu jednak bez przygód. To tutaj zobaczyliśmy po raz pierwszy jak wygląda deszcz monsunowy. Czterdziestominutowa ulewa podniosła poziom jeziora o kilkadziesiąt centymetrów a miasto zostało całkowicie zalane przez muł spływający z gór.

To co przeżyliśmy było niesamowite, ale przeżyliśmy tu także miłe chwile gdy właściciele łodzi urządzili, ważną w życiu każdej kobiety uroczystość ukończenia 13 roku życia, kiedy to dziewczyna osiąga wiek, w którym powinna wyjść za mąż. Mogliśmy życzyć ich córce wszystkiego dobrego. Także tutaj obejrzelśmy piękne ogrody cesarzy mogolskich i dotarliśmy do położonej na wzgórzu jednej z najstarszych świątyń hinduskich. Największe wrażenie zrobiła na nas wizyta na wodnym targu warzywnym oraz w miejscowej wytwórni dywanów.



Foto: Krzysztof Tęcza

Do tej pory nasza podróż wydawała się sielankowa. Jednak teraz miało się to zmienić. Ruszyliśmy bowiem w stronę Lehu stolicy Tybetu. Po drodze mijamy miejscowości Mulbek i Lamayuru gdzie zwiedzamy klasztory tybetańskie. Gdy wjeżdżamy do Lehu wiemy, że jesteśmy w części Tybetu, która po chińskiej inwazji pozostała w granicach Indii. To tutaj znajduje się tybetański pałac górujący nad miastem, kiedyś siedziba rządu tybetańskiego, dzisiaj muzeum. Mamy jednak to szczęście, że gdy z rana wybraliśmy się tam, akurat z góry zjeżdżała kolumna samochodów eskortująca wyjeżdżającego z miasta Dalajlamę. Ten siedząc w samochodzie uśmiechał się i machał ręką do wszystkich, którzy wyszli na ulicę by go pożegnać. Muszę przyznać, że było to spore przeżycie.

Leh na jakiś czas stał się naszą bazą wypadową. To stąd wyruszaliśmy do okolicznych dolin. Najpierw była to dolina Hemis i Tikse. Nocowaliśmy nad brzegiem jeziora Pangong, tak jak innych w Himalajach, mającego słoną wodę.



Foto: Krzysztof Tęcza

Najbardziej emocjonującą częścią wyprawy był przejazd wynajętym dżipem nad wysokogórskie jezioro Tsomori Ri oraz do doliny Nubry. Początkowo nic nie zapowiadało wielkich emocji. Jednak gdy zaczynaliśmy wspinać się pod górę, gdy zobaczyliśmy wijące się serpentyny drogi, którą mieliśmy pokonać byliśmy coraz bardziej podekscytowani. Nie dość, że widok przepaści, w których od czasu do czasu dostrzec można było samochody, które się tam ześlizgnęły, wywoływał u nas napady lęku, to jeszcze ruch na drodze był tak niesamowity, że nie mogliśmy zapanować nad naszymi emocjami. Dobrze, że wynajęty samochód miał w pakiecie miejscowego kierowcę. Bez niego pewnie nie wrócilibyśmy żywi. Jego umiejętności oraz zdecydowanie nieraz uratowały nam życie. Podziwialiśmy jego wyczyny gdy na wąskiej drodze wyprzedzał nieprzygotowanych do takiej trasy kierowców. Zdarzano się, że w miejscach gdzie inni stawali bo albo z góry spływała woda, albo po prostu było zbyt ciasno, on nie zatrzymywał się tylko, prowadzony jakimś siódmym zmysłem, omijał wszystkich i wciąż

jechał do przodu. Nic dziwnego, że po przejechaniu „drogi śmierci” nasze uznanie zostało wyrażone hojnym napiwkami.



Jeleniogórzanie Elżbieta Sznajder i Krzysztof Tęcza na najwyższej położonej na świecie przejezdnej przełęczy Khadrung La 5600 metrów n.p.m. Foto: Krzysztof Tęcza

Nasz kilkunastodniowy pobyt w rejonie położonym na wysokości 3-4,5 tysiąca metrów pozwolił na bardzo dobrą aklimatyzację. Dlatego też nie mieliśmy specjalnych problemów podczas podróży wysokogórskiej gdy docieraliśmy kolejno na przełęcze położone na wysokości 4900, 5100, 5360 i w końcu 5600 metrów n.p.m. Oczywiście największe emocje wzbudziło u nas dotarcie na NAJWYŻEJ POŁOŻONĄ NA ŚWIECIE PRZEJEZDNĄ PRZEŁĘCZ Khadrung La. Wysokość 5600 metrów nad poziomem morza była dla nas naprawdę dużym osiągnięciem. Powietrze jest tutaj na tyle rzadkie, że gdy pozwoliliśmy sobie na krótką przebieżkę od razu to poczuliśmy. Zrobiło nam się duszno, poczuliśmy ucisk w sercu i musieliśmy szybko przystopować.

Naszym założeniem w momencie wyjazdu było pokazanie na najwyższym miejscu w Himalajach, do którego dotarliśmy, że przybyliśmy tu z Karkonoszy. Dlatego w tym dniu, chociaż nie tylko, założyliśmy koszulki z napisem Jelenia Góra w Karkonoszach. Co prawda nie łatwo było nam je zdobyć ale jakoś udało się je pozyskać.

Zanim dotarliśmy na przełęcz Khadrung La pokonaliśmy inne nieco niższe leżące po drodze naszej podróży. Jednak dopiero na wysokości 5600 metrów n.p.m. dotarło do nas, że jesteśmy tak wysoko. Nie dość, że czulimy spowolnienie w organizmie to i oddech był trochę płytszy niż zazwyczaj. Zdziwił nas tu fakt, że na przełęczy jest tak dużo ludzi. W większości byli to Hindusi, jednak trafiali się przedstawiciele różnych krajów. My, dzięki napisom na naszych koszulkach, od razu wyróżnialiśmy się z tłumu. Od razu usłyszeliśmy, a my jesteśmy z Rzeszowa, my z Poznania. Okazało się, że Polaków było tam więcej, nie tylko nasza 9-osobowa grupa. Tyle, że nikt poza nami nie miał takich ładnych koszulek. Zdziwienie wzbudzał w nas także fakt, że większość przebywających tam osób ubranych było w grube kurtki i ciepłe odzienie. My mieliśmy założone koszulki z krótkim rękawem i było nam ciepło.

Miejscowi jednak odczuwali to inaczej. Fakt, na przelęczy a także przed nią zalegał śnieg, ale nie wiało jakoś od niego chłodem.

Teraz gdy już jesteśmy w domu zastanawiamy się co było w tym miejscu najbardziej dla nas kłopotliwe. Myślimy, że kolejka do toalet. Aby bowiem skorzystać z nich trzeba było odczekać swoje. Brak tam bowiem ustronnych miejsc. Chociaż po drodze nieraz widzieliśmy jak ludzie korzystali z leżących kamieni by schować się za nimi. Zresztą my czyniliśmy tak samo.



Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejnego dnia, dla wytchnienia, odwiedziliśmy klasztor w Alchi a później dotarliśmy do Manali. Po drodze napotkaliśmy na tak gęstą mgłę, że nawet nasz doświadczony kierowca nie bardzo wiedział czy jedzie jeszcze drogą czy już wjeżdża w przepaść. Ba gdy zjechaliśmy niżej, gdzie pojawiła się roślinność, złapał nas kolejny deszcz monsunowy. Wszystkie pojazdy stanęły by przeczekać nawałnicę. Niestety po chwili poczuliśmy jak nasz samochód zaczyna sływać w stronę przepaści. Na szczęście szybka reakcja kierowcy uratowała nas przed przemieszczeniem się kilkaset metrów niżej. Włączył on silnik i z całym impetem wbił się w zboczne góry gdzie rosnące rośliny zakotwiczyły nasze autko. Tak przeczekaliśmy pół godziny ulewy.

Manali to miasteczko, do którego dawniej chętnie przybywali hipisi. Nawet dzisiaj ich tutaj widać. Spędziliśmy tam kilka dni. Nasze zdziwienie wywołał fakt, iż nawet w rowach przy ulicy rosły konopie. Jakoś nikomu to nie przeszkadzało. My rozerwaliśmy się, dosłownie, na diabelskim kole. Piszę dosłownie, bo gdy już siedzieliśmy w wagonikach okazano się, że działa ono na słowo honoru. Uczucie

gdy dojeżdżało się do zenitu powodowało chęć by natychmiast znaleźć się na ziemi. Niestety nie było to możliwe. Jakimś cudem przeżyliśmy to.

Odetchnęliśmy dopiero gdy dotarliśmy do górskiego miasteczka Shimla. Była to letnia stolica Indii za panowania Brytyjczyków. Na początku zdziwiło nas, że we wszystkich oknach zainstalowane są solidne kraty. Po pierwszej nocy już się nie dziwiliśmy. Okazało się, że jest to najskuteczniejsza ochrona przed małpami. Kiedyś gdy Indie były zagrożone najazdem, władca małp pomógł ocalić kraj i dlatego małpy zostały uznane za święte. Nie wolno im robić krzywdy. Dlatego też robią one co chcą. Na górze nad miastem wzniesiono kilkudziesięciometrowej wysokości pomnik przedstawiający małpiego generała. Nie jest tam łatwo dotrzeć ale warto. Widok na miasto jaki się roztacza z tamtego wzgórza jest niesamowity. Oczywiście przeżyliśmy tam bliskie spotkanie z małpami. Wykorzystując naszą nieuwagę czy może brak wiary w opowiadania miejscowych, zdejmowały nam z nosów okulary, które po chwili wymieniały na torebki z jedzeniem.

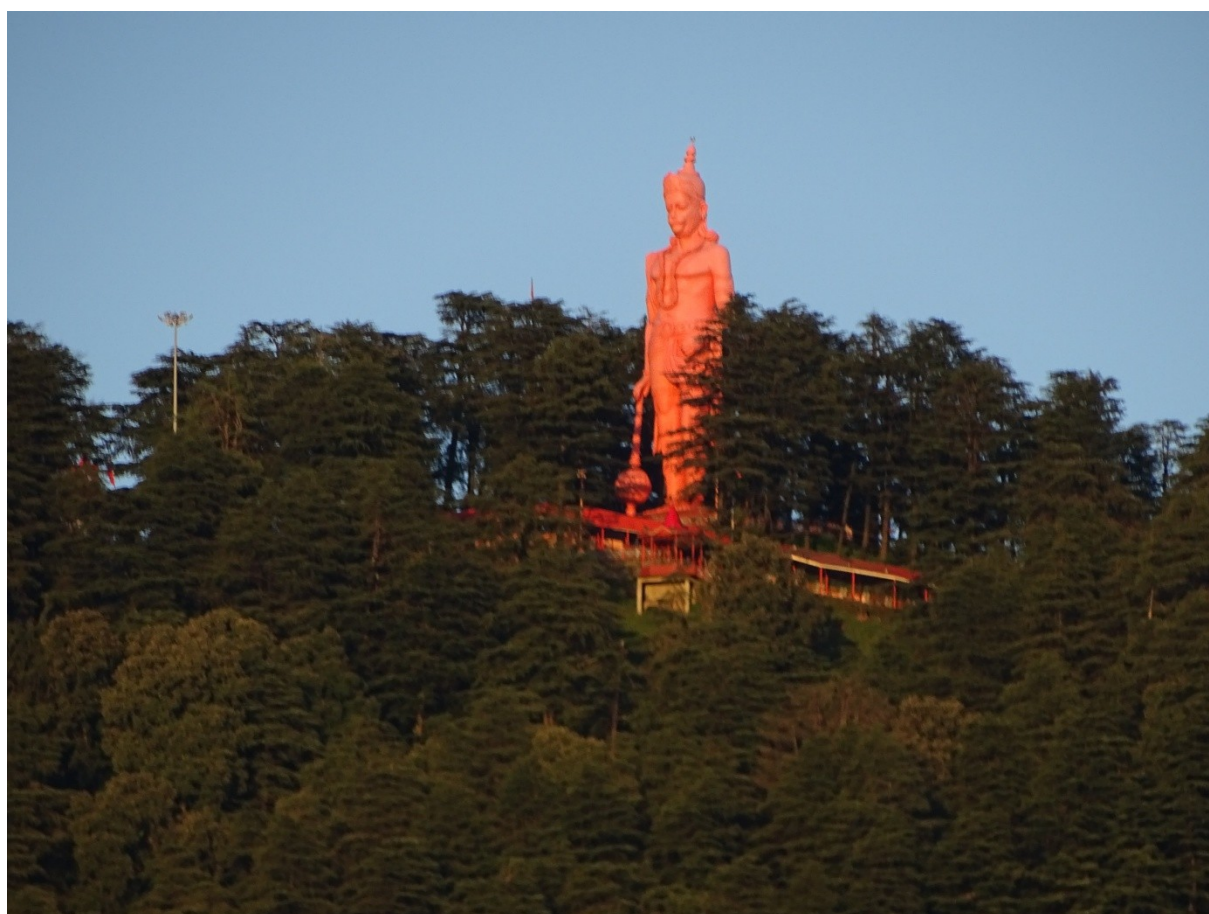


Foto: Krzysztof Tęcza

W Simli znajduje się wpisana na listę zabytków UNESCO kolejka górską. Wygląda na to, że po wyjściu z Indii Anglików, poza malowaniem i wymianą szyn nic w niej nie robiono. A wciąż jeździ. My przejechaliśmy nią pod wzgórze, na którym stoi pałac wicekrólów Indii. Dzisiaj jest to częściowo muzeum, częściowo uniwersytet. Jego wielkość wywołuje spore wrażenie. Jednak panująca w murach wilgoć nie jest wskazana dla alergików.

Po wyjeździe z Tybetu czyli krainy wysokich przełęczy docieramy do świętego miasta hinduizmu jakim jest Haridwar. To tutaj można zażyć oczyszczającej kąpieli w nurcie Gangesu. Woda jest nie tylko czysta

ale bardzo zimna. Wszak jesteśmy u stóp Himalajów. Gdy wchodzi się do rzeki najlepiej przytrzymywać się rozmieszczonych gęsto łańcuchów. Inaczej prąd wody może nas porwać i możemy się utopić. Gdy zobaczyliśmy tysiące ludzi zażywających kąpeli postanowiliśmy także oczyścić nasze ciała. Jak się okazało oprócz kurzu spłynęły z nas także wszystkie grzechy popełnione przez nas we wszystkich poprzednich pokoleniach. Hindusi gdy zobaczyli „białasów” wchodzących do wody od razu otoczyli nas kręgiem i zaczęli podawać słowa mantry. Byli bardzo radzi, że postanowiliśmy zażyć razem z nimi kąpeli. My zaś, radzi z ich uprzejmości, przybyliśmy ponownie nad Ganges wieczorem, na modły z ogniem. Trzeba przyznać, że byliśmy oczarowani tym co nas spotkało.



Foto: Krzysztof Tęcza

Po tak wyczerpującej podróży wróciliśmy do Delhi by obejrzeć jeszcze kilka ciekawych miejsc. Najbardziej jednak zachwyceni byliśmy z przejażdżek riksami. To niesamowite jak prowadzący te pojazdy potrafią przetrwać na ulicach. Nie dość, że mijają się na styk, to nie powodują żadnych wypadków. Ich pojazdy nie mają najmniejszej rysy.

I tak po miesiącu wędrówki wróciliśmy do domu. Lot z Delhi trwał tyle co jazda pociągiem do Warszawy. Było fantastycznie, poznaliśmy nowe obyczaje, zabytki, no i góry. W naszej pamięci pozostanie nie tylko kąpiel w Gangesie czy spotkanie z Dalajlamą ale także przejażdżka na dwugarbnych wielbłądach czy świstaki himalajskie, zarówno te proszące o ciastka jak i te dzikie, uciekające przed nami, zapamiętamy ciepłą wodę zarówno ze źródeł jak i gejzerów. Jednak przede wszystkim zapamiętamy ludzi, serdecznych i życzliwych, miłych i uczynnych. To dzięki nim nasz wyjazd się udał. Dzięki nim zmieniliśmy nasze widzenie Indii.

Krzysztof Tęcza